

# CIEŃ GÓRY



GREGORY DAVID  
ROBERTS

PRZEŁOŻYŁA MACIEJKA MAZAN

MARGINESY

*The Mountain Shadow*

COPYRIGHT © 2015 BY Gregory David Roberts

ALL RIGHTS RESERVED

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Maciejka Mazan

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY, WARSZAWA 2016

*Dla Bogini*



Świetlistość, źródło wszystkiego, przybiera więcej postaci, niż jest gwiazd na niebie – to pewne. By się rozjarzyć, wystarczy jej jedna dobra myśl. Ale jeden błąd może spalić w twoim sercu cały las, ukryć wszystkie gwiazdy na wszystkich niebach. I dopóki jego ogień płonie, dopóty zdradzona miłość czy utracona wiara może ci podsunąć myśl, że już po tobie, że nie możesz żyć dalej. Ale to nieprawda. To nigdy nie jest prawda. Bez względu na to, co robisz, bez względu na to, gdzie się zgubiłeś, ta świetlistość nigdy cię nie opuszcza. A dobro, które w tobie umiera, może się odrodzić, jeśli bardzo tego chcesz. Serce nie potrafi się poddać, bo nie potrafi kłamać. Odrywasz wzrok od przeczytanej strony, napotykasz uśmiech kogoś zupełnie obcego, i poszukiwanie zaczyna się od nowa. Nie jest tak, jak było. Nigdy. Zawsze jest inaczej. Ale nowy las, który odrośnie w okaleczonym sercu, czasem okazuje się dziksz i silniejszy niż tamten sprzed pożaru. A jeśli tam pozostaniesz, w tym blasku swojego wnętrza, w tym nowym miejscu na świetlistość, wybacząc wszystko i nigdy się nie poddając, wcześniej czy później zawsze znajdziesz się tam, gdzie miłość i piękność stworzyły świat, i to będzie początek. Początek. Początek.

– Hej, Lin, co za początek dnia! – zawołał Vikram gdzieś z głębin ciemnego, dusznego pokoju. – Jak mnie znalazłeś? Kiedy wróciłeś?

– W tej chwili – powiedziałem, stojąc w szerokich balkonowych drzwiach werandy wychodzącej na ulicę. – Jakiś chłopiec powiedział, że tu jesteś. Wyjdź na chwilkę.

– Nie, nie, stary, ty wejdź! – rzucił Vikram ze śmiechem. – Poznaj chłopaków!

Moje oczy, przywykłe do świetlistości nieba, nie rozróżniały w ciemnym pokoju nic oprócz niewyraźnych kształtów. Widziałem tylko dwie słoneczne lance wpadające przez zamknięte okiennice i przebijające kłęby oparów pachnących haszyszem i spaloną wanilią – wonią brązowej heroiny.

Wspominając ten dzień, zapach narkotyków, cienie i rozjarzone światło przeszywające ten pokój, zastanawiałem się, czy to jakieś przeczucie ostrzegало mnie przed przekroczeniem progu. Zastanawiałem się, jak inaczej potoczyłoby się moje życie, gdybym się wtedy odwrócił i odszedł. Decyzje, które podejmujemy, to gałęzie drzewa możliwości. Na trzy pory monsunowe od tego dnia

Vikram i obcy ludzie z tego pokoju stali się nowymi gałęziami w lesie, w którym przez jakiś czas przebywałem wraz z nimi – miejskiej dżungli miłości, śmierci i zmartwychwstania. Z tamtej chwili wahania, która wtedy nie wydawała mi się ważna, wyraźnie pamiętam, że gdy Vikram wyszedł z mroku, chwycił mnie za ramię i wciągnął do pokoju, dotyk jego spoconej ręki przeszył mnie dreszczem.

Większość powierzchni tego wielkiego prostokątnego pomieszczenia zajmowało ogromne trzymetrowe łóże. Leżał na nim mężczyzna z rękami złożonymi na piersi, w srebrnej piżamie – trup, jak mi się wydawało. O ile mogłem się zorientować, jego pierś nie unosiła się w oddechu. Dwaj mężczyźni, jeden po lewej, drugi po prawej stronie nieruchomej postaci, siedzieli na łóżku i przygotowywali chillum. Na ścianie, dokładnie nad głową martwego lub twardo śpiącego mężczyzny, wisiał ogromny portret Zaratustry, parsyjskiego proroka. Gdy mój wzrok przywykł do ciemności, pod ścianą naprzeciwko werandy zobaczyłem trzy wielkie krzesła, oddzielone dwiema masywnymi, starymi komodami. Na krzesłach siedzieli mężczyźni. Na podłodze leżał bardzo duży, kosztowny perski dywan. Wszędzie znajdowały się zdjęcia osób w tradycyjnych parsyjskich strojach. Po prawej stronie, naprzeciwko łóża, na toalecie z marmurowym blatem stał zestaw hi-fi. Dwa wiatraki pod sufitem obracały się tak leniwie, że nie rozpraszały stojących chmur dymu. Vikram zaprowadził mnie do mężczyzny siedzącego na jednym z trzech krzesel, tym znajdującym się najbardziej z zewnątrz. Był to cudzoziemiec jak ja, ale wyższy: jego długie ciało i jeszcze dłuższe nogi spoczywały bezwładnie, jakby unosił się w wannie. Ocenilem go na jakieś trzydzieści pięć lat.

– To Concannon – oznajmił Vikram, popychając mnie ku niemu. – Jest z IRA.

Ręka, którą uściśnałem, była ciepła, sucha i bardzo silna.

– Pierdolić IRA! – powiedział Concannon, wymawiając to pierwsze słowo z północnoirlandzkim akcentem. – Jestem z Ulsteru, z UVF, ale nie można się spodziewać, że taka pogańska cipa jak Vikram to zrozumie, nie?

Spodobał mi się błysk pewności siebie w jego oku, ale nie jego pewne siebie słowa. Cofnąłem rękę i skinąłem mu głową.

– Nie słuchaj go – poradził Vikram. – Wygaduje mnóstwo głupot, ale umie się bawić jak żaden znany mi cudzoziemiec, zaręczam ci. – Pociągnął mnie w kierunku drugiego, siedzącego w środku młodego mężczyzny, który w chwili gdy do niego podeszliśmy, pykał właśnie z nabitej haszyszem chillum, którą zapalał mu mężczyzna z trzeciego krzesła. Gdy płomyk zapalniczki znalazł się w fajce, z jej główki ponad głowę młodzieńca buchnął ogień.

– *Bom shankar!* – zawołał Vikram, sięgając po fajkę. – Lin, to Naveen Adair, prywatny detektyw. Słowo daję. Naveen, to Lin, facet, o którym ci opowiadałem. Jest lekarzem w slumsach.

Młodzieniec wstał, żeby uściśnąć mi rękę.

- Na razie nie jestem detektywem - powiedział z nieśmiałym uśmiechem.

- Nie szkodzi - odparłem, także się uśmiechając. - Ja w ogóle nie jestem lekarzem.

Trzeci mężczyzna, który zapalił fajkę, pociągnął z niej i podsunął mi ją. Podziękowałem uśmiechem, więc podał ją mężczyźnie siedzącemu na łóżku.

- Jestem Vinson - powiedział, potrząsając moją dłońią jak wielki, wesoły szczeniak. - Stuart Vinson. Wiele o tobie słyszałem.

- Każda cipa słyszała o Linie - oznajmił Concannon, przyjmując fajkę od mężczyzny na łóżku. - Vikramowi gęba się na twój temat nie zamyka. Jest jak nastoletnia fanka. Lin to, Lin tamto, Lin sramto. Powiedz, Vikram, obciągnąłeś mu już? Naprawdę taki dobry czy tylko tak gada?

- Jezus, Concannon! - jęknął Vinson.

- Co? - spytał Concannon jak wcielenie niewinności. - No co? Zadałem tylko pytanie. Indie nadal są wolnym krajem, tak? Przynajmniej tam, gdzie mówi się po angielsku.

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział do mnie Vinson, przepaszając wzruszając ramionami. - On nad tym nie panuje. Ma jakiś zespół skurwysyna Tourette'a czy coś takiego.

Stuart Vinson, Amerykanin, miał muskularną sylwetkę, szerokie, wyraźne rysy i gęstą szopę rozczochranych jasnych włosów nadających mu wygląd człowieka morza, który szuka przygód podczas samotnych wypraw jachtem. W rzeczywistości był dilerem narkotykowym, w dodatku bardzo znanym. Słyszałem o nim, podobnie jak on słyszał o mnie.

- To Dżamal - podjął Vikram, nie zwracając uwagi na Vinsona i Concannona, i przedstawiając mnie mężczyźnie siedzącemu po lewej stronie łóżka. - Importuje, przetwarza i pali. Teatr Jednego Aktora.

- Teatr Jednego Aktora - powtórzył Dżamal. Był chudy, o gadzich oczach, obwieszony ogromną liczbą religijnych amuletów. Zacząłem je liczyć, zahipnotyzowany takim nagromadzeniem świętości. Zauważyłem symbole pięciu głównych religii, zanim moje spojrzenie zatrzymało się na jego uśmiechu.

- Teatr Jednego Aktora - powiedziałem.

- Teatr Jednego Aktora - powtórzył.

- Teatr Jednego Aktora.

- Teatr Jednego Aktora.

Zrobiłbym to jeszcze raz, ale Vikram mnie powstrzymał.

- To Billy Bhasu - oznajmił, wskazując małego, bardzo drobnego mężczyznę o jasnej skórze, siedzącego po drugiej stronie nieruchomej postaci. Billy Bhasu złożył dłonie w pozdrowieniu i wrócił do czyszczenia fajki. - Billy Bhasu jest dostarczycielem - wyjaśnił Vikram. - Dostarcza wszystko, czego

chcesz. Wszystko, od dziewczyny po lody. Dostarczy ci to w tej chwili. Poproś go o coś!

- Nie chcę...

- Billy, dostarcz Linowi lody!

- W tej chwili - powiedział Billy, odkładając chillum.

- Nie, Billy - rzuciłem, unosząc dłoń. - Nie chcę lodów.

- Przecież je uwielbiasz! - zaprotestował Vikram.

- Ale nie aż tak, żeby kogoś po nie posyłać. Siadaj, człowieku.

- Jeśli ma nam coś dostarczyć - odezwał się Concannon z mroku - to ja głosuję na lody i dziewczynę. Dwie dziewczyny. Ale biegusiem, kurwa.

- Słyszysz, Billy? - ponaglił Vikram. Podszedł do mężczyzny i zaczął go ściągać z łóżka, ale w tej samej chwili postać leżąca na łożu odezwała się, a Vikram zamarł, jakby spojrzał w lufę broni.

- Vikram - powiedział leżący. - Psujesz mi haj.

- O cholera! O cholera! O cholera! Przepraszam, Dennis - rzucił gorączkowo Vikram. - Przedstawiałem Lina chłopakom i...

- Lin - przerwał mu mężczyzna, otwierając oczy i przesywając mnie spojrzeniem. Jego tęczęwki były zaskakująco jasne, szare, z aksamitnym połyskiem. - Nazywam się Dennis. Cieszę się, że cię poznałem. Czuj się tu jak u siebie w domu. *Mi casa es su casa.*

Podszedłem, uściśniętem bezwładne ptasie skrzydło, które podał mi Dennis, i cofnąłem się, stając u stóp łoża. Dennis odprowadził mnie wzrokiem, uśmiechając się łagodnie i dobrotliwie.

- No, no! - odezwał się cicho Vinson, stając obok mnie. - Dennis, chłopie! Dobrze cię znowu widzieć! Jak było po tamtej stronie?

- Cicho - mruknął Dennis, nadal uśmiechając się do mnie. - Bardzo cicho. Do niedawna.

Concannon i Naveen Adair, młody detektyw, stanęli obok nas. Wszyscy patrzyli na Dennisa.

- To wielki zaszczyt - szepnął do mnie Vikram. - Dennis patrzy na ciebie.

Przez chwilę milczeliśmy. Ciszę przerwał Concannon.

- No i zajebiście - rzucił, błyskając zębatym uśmiechem. - Tkwię tu, kurwa, od pół roku, dzielę się dowcipem i mądrością, palę twój towar, piję twoją whisky, a ty otworzyłeś oczy tylko dwa razy. Lin dopiero co przekroczył twój próg, a ty wpatrujesz się w niego jak w święty obraz. Co ja jestem, Dennis, jakaś cipa?

- No naprawdę, człowieku - powiedział cicho Vinson.

Concannon ryknął śmiechem. Dennis skrzywił się boleśnie.

- Concannon - szepnął. - Kocham cię jak przyjaznego ducha, ale psujesz mi haj.



- Przepraszam, chłopaku - rzucił Concannon z uśmiechem.  
- Lin - wymamrotał Dennis, trwając w doskonałym bezruchu. - Proszę, nie czuj się urażony. Muszę teraz odpocząć. Miło było mi cię poznać. - Odwrócił lekko głowę w stronę Vikrama.

- Vikram - mruknął dźwięcznym, wibrującym basem. - Proszę, nie hałasuj. Psujesz mi haj, człowieku. Będę wdzięczny, jeśli się uciszysz.

- Oczywiście. Przepraszam.

- Billy Bhasu? - dodał Dennis cicho.

- Tak?

- Pieprzyć lody.

- Pieprzyć lody?

- Pieprzyć lody. Nikt nie dostanie lodów. Nie dziś.

- Tak jest.

- Czy zrozumieliśmy się w kwestii lodów?

- Pieprzyć lody, Dennis.

- Nie chcę słyszeć słowa „lody” przez co najmniej trzy miesiące.

- Tak jest.

- Dobrze. Dżamal, przygotuj mi następną chillum. Dużą i mocną. Gigantyczną. Legendarną. To będzie akt współczucia zatracający o cud. Do widzenia wszystkim zebranym. - Dennis założył ręce na piersi, przymknął oczy i wprowadził się w stan relaksu: prawie śmiertelny bezruch z pięcioma oddechami na minutę. Nikt się nie poruszył, nikt się nie odezwał. Dżamal z żarliwym skupieniem przygotowywał legendarną chillum. Wszyscy wpatrywali się w Dennisa. Chwyciłem Vikrama za koszulę.

- Wyjdźmy stąd - szepnąłem, wyciągając go z pokoju. - Do widzenia wszystkim zebranym.

- Hej, poczekajcie na mnie! - zawołał za nami Naveen, wybiegając przez balkonowe drzwi.

Świeże powietrze otrzeźwiło Vikrama i Naveena, którzy przyspieszyli kroku, doganiając mnie. Wiatr wiejący przez cienisty korytarz dwupiętrowych budynków i gęstych platanów przyniósł mocny, przejmujący zapach ryb z pobliskiego portu Sassoon. Między drzewami kładły się plamy słonecznego światła. Przechodząc z mroku w kolejny rozbryzg białego żaru, czułem, że słońce wypełnia mnie po brzegi, a potem ustępuje przed przyplływem cienia drzew. Niebo miało mglisty odcień błękitu: szkło wyrzucone przez morze. Wrony jechały na dachach autobusów do chłodniejszych dzielnic miasta. Obwoźni sprzedawcy pokrzykiwali dziarsko. Był to taki bombajski dzień, w którym mieszkańcy Bombaju - mumbajkarzy - głośno śpiewają. Kiedy minąłem się z mężczyzną zmierzającym z naprzeciwka, obaj nuciliśmy tę samą piosenkę miłosną w hindi.

- Zabawne - zauważył Naveen. - Obaj śpiewacie to samo, człowieku.

Uśmiechnąłem się i właśnie zamierzałem zaśpiewać jeszcze parę linijek, jak to mamy w zwyczaju w te bombajskie dni z błękitnego szkła, kiedy Vikram spytał:

- No, to jak poszło? Masz to?

Jedną z przyczyn, dla których nie jeżdżę często do Goa, jest to, że gdy się tam wybieram, ktoś zawsze chce, żebym coś mu załatwił. Gdy trzy tygodnie temu powiedziałem Vikramowi, że mam sprawę w Goa, poprosił mnie o przyśługę. Zastawił u tamtejszego lichwiarza, rekinu finansów, ślubny naszyjnik matki jako poręczanie za pożyczkę. Ozdoba była wysadzana małymi rubinami. Vikram spłacił dług, ale lichwiarz nie chciał odesłać zastawu. Powiedział, że Vikram ma go odebrać osobiście w Goa. Wiedząc, że lichwiarz szanuje firmę Sanjaya - mafię, w której pracowałem - Vikram poprosił mnie, żebym złożył mu wizytę. Zrobiłem to i odebrałem naszyjnik, ale okazało się, że lichwiarz nie szanuje mafii aż tak, jak się wydawało. Zwodził mnie ponad tydzień, nieustannie odwołując spotkania i zostawiając obraźliwe wiadomości o mnie i firmie Sanjaya. W końcu zgodził się oddać naszyjnik, ale wtedy było już za późno. Jeśli on był rekinem finansów, to mafia, którą obraził, była statkiem poławiaczy rekinów. Skontaktowałem się z czterema miejscowymi współpracownikami firmy Sanjaya. Pobiliśmy gangsterów broniących nam dostępu do lichwiarza i dotarliśmy do niego. Oddał naszyjnik. Wtedy jeden z miejscowych pokonał go w uczciwej walce, a potem nadal go bił, już nie fair, dopóki nie wbił mu do głowy poszanowania dla mafii.

- No więc? - spytał Vikram. - Masz to czy nie?

- Proszę - powiedziałem, wyjmując klejnot z kieszeni i oddając go Vikramowi.

- Super! Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Danny się stawiał?

- Wykreśl go z listy pożyczkodawców.

- *Thik*. - „Dobrze”. Vikram wytrząsnął rubinowy naszyjnik z błękitnej atlasowej saszetki. Rubiny załśniły krwawo w słońcu. - Słuchaj... Odniosę to mamie. Od razu. Mogę was podwieźć taksówką?

- Jedziesz w przeciwną stronę - powiedziałem, gdy Vikram zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. - Wrócę do Leopolda, gdzie zaparkowałem rower.

- Przejdę się z tobą, jeśli mogę - odezwał się Naveen cicho.

- Jak chcesz.

Vikram schował saszetkę za pazuchą i już miał wsiąść do taksówki, gdy zatrzymałem go i szepnąłem, pochylając się do jego ucha:

- Co robisz?

- Jak to?

- Nie oszukasz mnie w sprawie narkotyków, Vik.
- Kto oszukuje? - oburzył się. - Wziąłem tylko parę buchów, to wszystko. I co z tego? Zresztą to towar Concannona. Sam za niego zapłacił. Ja bym...
- Wyluzuj.
- Jestem wyluzowany. Przecież mnie znasz.
- Niektórzy potrafią zerwać z nałogiem. Concannon może do nich należeć. Ty - nie. Dobrze o tym wiesz.

Vikram uśmiechnął się i przez parę chwil przypominał dawnego siebie - tego, który nie potrzebowałby niczyjej pomocy i sam odwiedziłby Goa, tego, który przede wszystkim nigdy nie zastawiłby ślubnej biżuterii swojej matki. Kiedy wsiadał do taksówki, uśmiech znikł z jego oczu. Obserwowałem go zmartwiony niebezpieczeństwem, w którym się znalazł - optymista złamany przez miłość.

Znowu ruszyłem przed siebie. Naveen poszedł za mną.

- Ciągłe mówi o tej dziewczynie, Angielce - powiedział.
- To jedna z tych rzeczy, które powinny się udać, ale rzadko się udają.
- O tobie też często mówi.
- Za dużo gada.
- Mówi o Karli, Didierze i Lisie. Ale na ogół o tobie.
- Za dużo gada.
- Powiedział, że uciekłeś z więzienia. I że się ukrywasz.

Stałem.

- Teraz ty za dużo gadasz. Jakaś epidemia czy co?
- Nie, pozwól mi wyjaśnić. Pomogłeś mojemu przyjacielowi Aslanowi...
- Co?
- Mojemu przyjacielowi...
- Co ty opowiadasz?
- Pewnej nocy koło Ballard Pier, parę tygodni temu. Pomogłeś mu w trudnej sytuacji.

Młody mężczyzna, biegnący po północy w moją stronę przez Ballard Estate, szeroką ulicę w kupieckiej dzielnicy, wśród zamkniętych na głucho budynków po obu stronach, młody mężczyzna, który znalazł się w pułapce, gdy przybyli tamci, a on zatrzymał się z rzucanym przez latarnie potrójnym cieniem u stóp, gotów do samotnej walki - i nagle nie był już sam.

- No i?
- Umarł. Trzy dni temu. Chciałem cię znaleźć, ale byłeś w Goa. Teraz mam szansę, żeby ci to powiedzieć.
- Co?

Naveen zadrżał. Patrzyłem na niego kamiennym wzrokiem, bo wspominał o ucieczce z więzienia, i chciałem, żeby przeszedł do rzeczy.

- Był moim szkolnym kolegą - powiedział spokojnie. - Lubił wyprawiać się w nocy w niebezpieczne miejsca. Tak jak ja. Tak jak ty, bo inaczej by cię tam nie było i byś mu nie pomógł. Pomyślałem, że zechcesz to wiedzieć.

- Żartujesz?

Staliśmy w bladym cieniu, o centymetry od siebie, opływani przez tłum.

- Jak to?

- Wywlekasz moją ucieczkę, żeby przekazać mi smutne wieści o śmierci Aslana? To mi chciałeś powiedzieć? Jesteś świrem czy takim pocziwiną?

- Chyba pocziwiną - powiedział zraniony i rozdrażniony. - Zbyt pocziwinym, żeby podejrzewać, że będziesz się dopatrywać drugiego dna w moich słowach. Załuję, że cię niepokoiłem. Nie chciałem tego. Przepraszam. Już pójdę.

- Czekaj - zatrzymałem go. - Czekaj.

Wszystko mi się w nim zgadzało: szczere spojrzenie, pewna siebie postawa, blask uśmiechu. Instynkt wskazuje nam właściwych ludzi. Ja instynktownie polubiłem tego chłopaka, młodego mężczyznę, który robił wrażenie tak odważnego i zranionego. Wszystko mi się w nim podobało, a to się nie zdarza często.

- Dobrze, popełniłem błąd - przyznałem, wyciągając rękę.

- Nie ma sprawy - powiedział, znowu się odprężając.

- Wróćmy do tego, że Vikram powiedział ci o więzieniu. Widzisz, taka informacja wzmogłaby zainteresowanie Interpolu - i zawsze budzi moje zainteresowanie. Rozumiesz to, prawda?

To nie było pytanie, a on to rozumiał.

- Pieprzyć Interpol.

- Jesteś detektywem.

- Pieprzyć detektywów. To informacja dotycząca przyjaciela, której nie ukrywa się przed przyjacielem, kiedy się ją pozna. Nikt cię tego nie nauczył? Wychowałem się na tych ulicach, tutaj, i wiem o tym.

- Ale nie jesteśmy przyjaciółmi.

- Jeszcze nie - powiedział Naveen z uśmiechem.

Przyglądałem mu się przez chwilę.

- Lubisz spacerować?

- Lubię spacerować i rozmawiać - odparł, włączając się wraz ze mną w kręte strumienie pieszych.

- Pieprzyć Interpol - dodał po chwili.

- Ty naprawdę lubisz mówić, co?

- I spacerować.

- To może opowiesz mi trzy krótkie spacerowe historie.

- Pewnie. Świetnie. Spacerowa historia numer jeden?

- Dennis.
- Wiesz - rzucił Naveen ze śmiechem, wymijając kobietę z ogromną paką makulatury na głowie - ja też tam byłem pierwszy raz. Oprócz tego, co sam widziałeś, mogę ci powiedzieć tylko to, co usłyszałem.
- Mów, co słyszałeś.
- Jego rodzice umarli. Podobno mocno go to zraniło. Byli dziani. Opatentowali jakiś wynalazek, który zaczął przynosić wielkie dochody. Dał Dennisowi sześćdziesiąt milionów.
- To nie był pokój za sześćdziesiąt milionów.
- Pieniądze pozostaną w funduszu powierniczym, dopóki on będzie się znajdował w tym transie.
- Dopóki nie wstanie z łóżka?
- To coś więcej niż leżenie w łóżku. Dennis we śnie wchodzi w stan *samadhii*. Jego uderzenia serca i oddech zwalniają do zera. Często jest praktycznie martwy.
- Pogrywasz sobie ze mną, detektywie.
- Nie - zapewnił ze śmiechem. - W zeszłym roku już siedmiu lekarzy podpisało jego akt zgonu, ale Dennis zawsze znowu się budził. Dżamał, Teatr Jednego Aktora, przechowuje te dokumenty.
- No dobrze, czyli Dennis bywa od czasu do czasu praktycznie martwy. Jego ksiądz i księgowy muszą mieć z tym pewien problem.
- Dopóki Dennis jest w transie, jego majątek pozostaje w funduszu powierniczym, a on ma tylko tyle środków, żeby wystarczyło mu na mieszkanie i utrzymywanie się na poziomie odpowiednim do wymogów jego transu.
- Usłyszałeś o tym czy odkryłeś jako detektyw?
- To i to.
- Hm... - Zrobiłem pauzę, żeby przepuścić samochód, który jechał na wstecznym tuż przed nami. - Nie wiem, o co mu chodzi, ale muszę przyznać, że nigdy w życiu nie widziałem kogoś, kto by potrafił leżeć lepiej od niego.
- Jest bezkonkurencyjny - przyznał Naveen z uśmiechem.
- Obaj przez chwilę o tym myśleliśmy.
- Druga historia? - spytał Naveen.
- Concannon - zdecydowałem, ruszając.
- Uprawia boks w moim klubie sportowym. Niewiele o nim wiem, ale mogę ci powiedzieć dwie rzeczy.
- Mianowicie?
- Ma zabójczy lewy sierpowy, którym potrafi znokautować, ale się odslania, jeśli spudłuje.
- Ach, tak?

- Za każdym razem. Wyprowadza cios prosty lewą, potem prawą, a lewy sierpowy zawsze łąduje mu w górze i jeśli nie trafia, zawsze zostaje bez osłony. Ale jest szybki i nieczęsto pudłuje. Dobry jest.

- I?

- Mogę też powiedzieć, że to jedyny mój znajomy, który zdołał mnie skontaktować z Dennisem. Dennis go uwielbia. Przytomnieje dla niego na dłużej niż dla kogokolwiek innego. Podobno chce go urzędowo adoptować. To trudne, bo Concannon jest od niego starszy i nie wiem, czy istnieje precedens adopcji białego przez Hindusa.

- Jak to „zdołał cię skontaktować”?

- Tysiące ludzi zabiega o audiencję u Dennisa, kiedy jest w transie. Wierzą, że w czasie przejściowej śmierci potrafi się skomunikować z ludźmi umarłymi na stałe. Niemal nikomu nie udaje się do niego wejść.

- Chyba że się przyjdzie i zapuka do drzwi.

- Nie rozumiesz. Nikt się nie ośmieli przyjść i zapukać, kiedy Dennis jest w transie.

- No co ty?

- Aż do teraz, kiedy to zrobiłeś.

- O Dennisie już sobie opowiedzieliśmy - powiedziałem, przepuszczając wózek ciągnięty przez czterech mężczyzn. - Wracajmy do Concannona.

- Jak powiedziałem, uprawia boks w moim klubie sportowym. Lubi się bić. Niewiele o nim wiem. Wydaje się rozrywkowy. Uwielbia imprezować.

- Nie liczy się ze słowami. Człowiek w tym wieku tak się nie zachowuje, jeśli nie może sobie na to pozwolić.

- Mówisz, że powinienem go obserwować?

- Tylko jego mroczną stronę.

- A trzecia historia? - spytał Naveen.

Zszedłem z drogi, którą zśliśmy, i po kilku krokach stanąłem na wąziutkiej ścieżce.

- Dokąd idziemy? - spytał idący za mną Naveen.

- Na sok.

- Sok?

- Dzień jest gorący. Co z tobą?

- Nie, nic. Super. Uwielbiam sok.

Trzydzieści dziewięć stopni w Bombaju, mrożony sok arbuzowy, pracujący na pełnych obrotach wiatrak zbyt blisko głowy - pełnia szczęścia.

- Więc... ty serio jesteś prywatnym detektywem?

- Tak. Zacząłem przez przypadek... w pewnym sensie... ale robię to już od roku.

- Jaki przypadek zmienia człowieka w detektywa?

- Studiowałem prawo - wyjaśnił Naveen z uśmiechem. - Prawie dotarłem do dyplomu. Na ostatnim roku natknąłem się na pracę o prywatnych detektywach i o tym, jak wpływają na sądownictwo. Wkrótce przestało mnie interesować cokolwiek oprócz pracy detektywa, więc rzuciłem studia, żeby spróbować.

- I jak?

Naveen parsknął śmiechem.

- Rozwód jest zdrowszy od giełdy i o wiele bardziej przewidywalny. Zaliczyłem parę spraw rozwodowych, ale dałem sobie spokój. Pracowałem z takim jednym facetem. Wprowadzał mnie w zawód. Od trzydziestu pięciu lat obstawiał sprawy rozwodowe i nadal je uwielbia. Ja nie. Dla żonatego mężczyzny romans zawsze jest wyjątkowy. Dla mnie to ciągle ten sam smutny film.

- A odkąd opuściłeś bujne pastwiska rozwodów...?

- Na razie znalazłem dwa zaginione zwierzaki, zaginionego męża i zaginiony półmisek. Wygląda na to, że wszyscy moi klienci, niech ich Bóg błogosławi, byli zbyt leniwi lub uprzejmi, żeby rozpocząć poszukiwania na własną rękę.

- Ale chyba lubisz to bycie detektywem. Kręci cię, nie?

- Wiesz, dochodzenie kończy się odkryciem prawdy. Jako prawnik mogę znać tylko jakąś jej wersję. A tu mam wszystko czarno na białym, nawet jeśli chodzi tylko o półmisek z serwisu po babci. To szczerza, nieskazona prawda.

- I będziesz to robić dalej?

- Nie wiem - powiedział z uśmiechem, znowu odwracając wzrok. - Zależy, czy się sprawdzę.

- Albo nie.

- Albo nie.

- To już trzecia historia. Naveen Adair, hindusko-irlandzki prywatny detektyw.

Naveen uśmiechnął się, błyskając białymi zębami. Ta biel szybko znikła.

- Nie ma o czym opowiadać.

- Naveen Adair - powtórzyłem wyraźnie. - Co ci dokopało bardziej, twoja angielska czy hinduska strona?

- Zbyt angielski dla Hindusów - rzucił ze śmiechem - i zbyt hinduski dla Angoli. Mój ojciec...

Kraina zwana ojcem jest dla zbyt wielu z nas pełna trudnych szczytów i zaginionych dolin. Czekałem, aż Naveen je pokona i znowu przemówi.

- Kiedy opuścił matkę, mieszkaliśmy na ulicy, dopóki nie skończyłem pięciu lat, choć właściwie niewiele pamiętam.

- Co się stało?

Naveen podniósł spojrzenie na ulicę; w jego oczach można było dostrzec przepływające kolory i emocje.

- Miał gruźlicę. Sporządził testament, w którym ustanowił matkę swoją spadkobierczynią i okazało się, że miał mnóstwo pieniędzy, więc nagle staliśmy się bogaci, a potem...

- Wszystko się zmieniło.

Naveen spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby żałował swojej gadatliwości.

Wentylator, oddalony zaledwie o kilka centymetrów, przyprowadził mnie o ból głowy. Wezwałem kelnera i poprosiłem, żeby trochę go przykręcił.

- Zimno? - prychnął z ręką na pokrętle. - Ja ci pokażę zimno!

Ustawił wentylator na huraganową piątkę. Policzki mi zlodowaciały. Zapłaciliśmy i wyszliśmy, słyszałem, jak woła na pożegnanie:

- Dwójka już wolna!

- Uwielbiam to miejsce - oznajmił Naveen po wyjściu.

- Serio?

- Tak. Świetny sok, chamscy kelnerzy. Idealnie.

- Możliwe, że się dogadamy, detektywie. Całkiem możliwe.